Dodatek do „Gazety Narodowej"

z dnia 29 Września 1901.

Echa wyborcze.

Pod napisem: „Kwestya bytu własności większej w naszym kraju" wydał dr. Mikołaj hr. Rey swoje przemówienie, wygłoszone na przedwyborczem zebraniu wielkiej własności w Tarnowie d. 16 bm. Nie była to mowa kandydacka, dr. Rey wcale bowiem o mandat się nie ubiegał, był to rodzaj uwag krytycznych co do przeszłości i krótkiego programu co do przyszłości.

W pierwszej części zaznaczywszy, że szlachta czyli większa własność, mimo że ma obecnie tak znakomitą większość we Wiedniu i w kraju, interesa jej, jako takie idą coraz gorzej, dalej wykazywał błędy stronnictwa konserwatywnego, a szczególniej krakowskiego.

Po pierwsze stronnictwo krakowskie uwierzyło, iż posłem do sejmu i parlamentu może być tylko wysoce urodzony albo przynajmniej bardzo oświecony człowiek i jak długo istniał oddział krakowski centr. komitetu, tak długo ua zachodzie w bezwzględny sposób w tym kierunku postępowano, co wywoływało tylko niechęć przeciw szlachcie, tak że partya konserwatywna widziała się zmuszoną zabrać z rąk posłów krakowskich ster centr. komitetu i temu należy zawdzięczać, że wybory ostatnie do sejmu i rady państwa przeszły spokojnie, uczciwie i wynik dały dodatni.

Powtóre zarzucał dr. Rey, że jakkolwiek z Krakowa wychodzą na kraj hasła i projekty, pojęte i pomyślane bardzo rozumnie, to jednak później ulegają wykoszlawieniu albo stawiane są w najnieodpowiedniejszej chwili i zamiast korzyści wywołują niesmak, a nawet rozdwojenie. Jako przykład przywodził dr. Rey: wniosek o gminy zbiorowe i tak zw. *lex* Hupka. Jedną i drugą reformę uznaje dr. Rey za potrzebną — zarzuca im tylko nieodpowiednie postawienie.

Co do interesów większej własności, to poruszył dr. Rey sprawę propinacyi w przyszłości i samoistności frachtowej kraju. W kwestyi propinacyi rzekł on:

W następującem sześcioleciu będzie załatwioną sprawa propinacyi. My, jako właściciele przemysłu piwnego i wódczanego tyle wiemy, iż piwo po zniesieniu propinacyi przejdzie do wolnego obrotu, a że wódkę czeka monopol. Że większa własność naszego kraju monopolu rządowego sobie nie życzy i życzyć nie może, bez zdania kompletnego na łaskę i niełaskę rządu wiedeńskiego, to jest powszechnie wiadomem. My życzyć sobie musimy i żądać możemy tylko monopolu krajowego, choćby jedynie z tego względu, iż ciągły wzrost budżetu krajowego wymaga podatku konsumcyjnego, krajowi przynajmniej częściowo pozostawionego. Dlatego ja stawiam rezolucyę, w kierunku monopolu krajowego dla sprzedaży spirytusu z zastrzeżeniem, iż posłowie nasi nie zezwolą na dalsze podniesienie stopy podatkowej od wódki, który to podatek konsumcyjny już kilkakrotnie, a nawet i świeżo dotkliwie uszczuplił majątek większej własności. Pragnąłbym, ażeby posłowie naszej ziemi nie poszli w ślad tych, którzy uchwalili w Wiedniu 10 zł. od hektolitra spirytusu nowego podatku, a zapomnieli równocześnie o uwolnieniu gorzelń rolniczych od podatku zarobkowego, nałożonego wbrew duchowi ustawy, którzy dali ulgi przy noweli należytościowej dla rozszerzających się ciągle miast, a zaniedbali żądać tych ulg dla kurczącej się większej własności wskutek działów familijnych i częstych opłat nie od rzeczywistego majątku, ale najczęściej od sumy długów i ciężarów, w stosunku których dział właściciela jest minimalnym.

Życzyłbym sobie również, ażeby z przeprowadzeniem wielkich inwestycyj połączono samodzielność frachtową, bez której ja pożytku kraju pomyśleć sobie nie mogę, a wiem tylko, że gęsta sieć kolejowa ułatwia przywóz obcych produktów na niekorzyć własnego rolnictwa i w szczególności egzystencyi większej własności. Pewien deputowany powiedział na zgromadzeniu ludowem, iż w okresie budowy kanałów większa własność z braku robotnika zaginąć musi. Temu deputowanemu, a nie był to ani Stojałowski, ani Stapiński, mogła ta nadzieja sprawić pociechę, my jednak i wogóle każdy kochający ojczyznę Polak nie może patrzeć bez troski, jak dokonuje się przewrót w posiadaniu kraju w ten sposób, iż pozostanie tylko kilkunastu wielkich panów i masa nieoświeconych chłopów na wsi, a wśród tego zastępy żydowskiego proletaryatu po miastach i trochę urzędników po biurach, jako jedyna warstwa oświecona w społeczeństwie. Nie, tego pragnąć nie możemy, a na to jest jeden tylko środek — samoistność frachtowa, którą jako trzecią rezolucyę dzisiejszemu zgromadzeniu przedstawiam; a dopóki sprawa frachtów na kanałach jeszcze nie ułożona, wpływ nasz możemy zagwarantować.

Rezolucye moje zmierzają do tego, ażeby nie zezwolić na dalszy rozbój większej własności, ażeby przedstawiciele nasi w polityce nie kierowali się wspaniałomyślnością magnata, bohaterstwem rycerza i doktryną profesora, ale uczyli się od Czechów tej starej rzymskiej maksymy: „do ut des, faciam ut facias!"

KORESPONDENCYE.

Paryż 28 września.

(Jak wyglądał pobyt cara we Francyi.)

Kiedy się car zbliżał do francuskich brzegów, źle wyglądało na dworze; na dworze siekł od rana do nocy nieubłagany deszcz, a na kanale La Manche szalał od zachodu wiatr i pędził przed sobą stada czarnych chmur i legiony spienionych fal. Dla amatorów huśtawki widoki były niezłe. Noc też ostatnia zapadała wśród najgorszych wróżb; od strony oceanu zalewał się horyzont coraz to bardziej tonami asfaltu a na kanale wygrywał coraz to potężniejsze furioso rozdęty organ wód. Nad ranem, nad samem ranem dopiero wiatr począł zapadać na astmę, chmury się zwolna rozdzierały i na spłakany port Dunkierki wyjrzało w ostatniej chwili wesołym promieniem słońce; świat się uśmiechnął kolorami i wypogodziły się poorane czoła, ale koncert rozhulanych fal nie ustawał i z nim trzeba się już definitywnie pogodzić.

Biały, elegancki torpedowiec czekał w porcie na prezydenta; zbudowano na jego pokładzie modry, jedwabny namiot, srebrnemi palmami poszyty i postawiono w nim na miękkim, smyrneńskim dywanie trzy złociste fotele — na przypadek.

O godzinie 7 z rana pierwszy huk dział. W błyszczącej eskorcie kirasyerów wyjechał Loubet z prefektury do portu i wsiadł z ministrami na statek. Ubrany był jak na bal; przekreślił kamizelkę wielką, niezapominajkową wstęgą św. Andrzeja, a głowę udekorował tryumfalnym cylindrem, jakiego wyjące morze dotąd zapewne nie widziało. Ministrowie powciskali na czupryny, co kto mógł; Millerand przybił czapkę z taką dosadą, że go nie można było poznać. Marynarze torpedowca krzyknęli siedm razy: „Vive la République", zawiała na wielkim maszcie chorągiew prezydenta, komendant statku dał znak i dalej w drogę.

Przy wyjściu z portu potrójny, nieopisany koncert: sto salw armatnich grzmiało z fortów Dunkierki, z szesnastu wielkich pancerników drugich tyle, a z nadbrzeżnych piasków wtórowały tej muzyce okrzyki kilkudziesięciu tysięcy ludzi. A biały torpedowiec odpowiadał od czasu do czasu i wymykał co mógł, bo się trochę spóźnił.

W godzinę później słyszano dalekie, szumem wód przygłuszone strzały, a o 10 zbliżała się pełną parą mała flota do portu; na przedzie w koronie torpedowców szybował statek prezydenta, a za nim, eskortowany przez dwa krążowniki, podążał ciężki jacht carski, „Standart" z chorągwiami obu narodów u szczytu wielkiego masztu. Pancerne goliaty zaziały piekielnym ogniem, przystanęła małą flota w dystansie trzech kilometrów od brzegu, spuszczono elegancką łódź z torpedowca i prezydent w małem gronie ministrów i generałów pojechał przywitać cara. Na otwartem morzu była ta operacya niemożliwą i tu nawet jeszcze trzeba było marynarskich nóg i heroicznego żołądka, żeby dobić do celu, nie naśladując paryskiego prefekta policyi, który opodal z pokładu małego parowca żywił w tej chwili ryby; trzeba nawet było talentów gimnastycznych, żeby w łodzi cało i sucho dosiedzieć. Kiedy Feliks Faure wyjeżdżał na wizytę do Petersburga, spotkała go w podobnej okoliczności niespodzianka, bo chrzest taki, że nie wiedziano na chwilę, gdzie się podział. Ale Loubet drwi sobie, widać, z gniewów Neptuna i ufa w swe marynarskie talenta; zadziwiał niemi nawet marynarzy rosyjskich, kiedy go na pokład wciągali.

U baryery jachtu stał car galowo przybrany, z czerwoną wstęgą legii honorowej na piersiach, z podkręconym wąsem, z uśmiechem na twarzy, z wyciągniętemi do prezydenta rękoma. Huk dział, wiwaty marynarzy, ukłony, uśmiechy, ściskanie rąk, komplementa, szczebioty, wszystkie formy oficyalej grzeczności wyczerpnięto w jednej chwili.

A carowa? Stawiam tu już na morzu to pytanie, bo odebrałem od jednej z naszych pań (bawiącej obecnie pod Żninem) długi i żywem piórem pisany list, który mi grozi utratą zbawienia, jeśli nie powiem czytelniczkom *Gazety*, jak carowa wyglądała, jakie miała toalety, jakie brylanty, jakim uśmiechem darzyła swych wielbicieli i wiele innych jeszcze arcyważnych rzeczy.

Zachowaj mnie, Panie, od milczenia! Nie chcę wystawiać zbawienia mego na szwank, lekceważąc paląca kwestyą spódniczek i odpowiadam co prędzej w dwóch słowach, że różne przejścia zaznaczyły się w figurze carowej akcentuacyą form kobiecych i to nawet tu i owdzie akcentuacyą, z wykrzyknikiem! że dalej, na jej twarzy bezbarwnej niegdyś, trochę ptasiej i trochę spiczastej, pojawiły się owale i rumieńce, i że toalety odpoczywają chwilowo po szafach w Petersburgu, bo carowa jest w żałobie po babce (angielskiej Wiktoryi) i po ciotce (cesarzowej niemieckiej). Brylanty i perły nie płaczą naturalnie starej Wiktoryi po szkatułach; okazują nawet wiele pociągu do czarnej toalety, która jest, jak wiadomo, sama w sobie najwyższą kokieteryą.

Romansopisarz Bourget był raz na bardzo sutym wieczorze u jednego z amerykańskich miliarderów przy piątej Avenue w Nowym Jorku i bawił się tam za firanką w psychologiczne studya nad młodą, bardzo piękną panną. Postawił też między innemi pytanie, czegoby sobie najbardziej w życiu życzyła i dowiedział się, że niema większego szczęścia na ziemi, jak stracić męża w dzień ślubu, bo to uprawnia do noszenia bez końca czarnych toalet.

Carowa, jest szczęśliwsza, dobiła do tego ideału przez babki i ciotki, więc też korzysta ze sposobności, żeby kokietować na codzień skromnością, a gdy takt na to pozwala, rozrzucać po swym czarnym stroju skarby z tysiąca nocy i jednej. Na przedstawieniu teatralnem w Compiegne miała dyadem we włosach z epoki ślubu, a na szyi najpiękniejsze zabytki po wesołej Katarzynie, jako to: kołnierz z pięciu rzędów bardzo wielkich dyamentów i sznur olbrzymich pereł, spadający aż do pasa.

Uśmiech dla wielbicieli niewymownie się wyemancypował, ale to się po przejściach bardzo często zdarza, zdarza się nawet wogóle gościom obojga płci, kiedy przybywają w znane już kąty i do widzianych ludzi. Car sam zmienił się pod tym względem najzupełniej. W chwili, gdy tu przed pięciu laty wysiadał na małym dworcu w Passy, miał minę człowieka, któremu co dopiero przeczytano wyrok śmierci, był blady, ponury, niepewny siebie; a na parowcu w Dunkierce przyjmował z taką swobodą, że mógł włożyć lewą rękę do kieszeni, podając na powitanie prawą.

Wiedział już i powiedział też ambasadorowi francuskiemu w Kopenhadze „qu'on est tres gentil pour lui en France" i od pierwszej chwili oddawał tu piękne za nadobne.

Rewia floty odbyła się po formie. Przy zagłuszającym huku dział, na masztach pancerników tysiącami chorągwi strojnych, huśtały się girlandy majtków i wiwaty za wiwatami kłóciły się z muzyką wód i armat, ale popisy podwodników trzeba było wykreślić z programu, bo stan morza nie pozwalał im się do pancerników zbliżać, ani też w oddaleniu w sposób widzialny popisywać.

Stan morza niejedno pozmieniał: pozmieniał przedewszystkiem różowe humory kucharzy w najczarniejszą w świecie rozpacz, bo pozmieniał bezczelnie godziny programu. Zamiast o 12 wysiadło carstwo w porcie Dunkierki o 3, a w Compiégne stanęła cała świta nie o 6, ale o 9. W Dunkierce dyrektorzy rądli mdleli nad uczonymi sosami, a ambasador króla belgijskiego, wysłany na powitanie cara, chodził niespokojnie wzdłuż i wszerz po salonie, bo miał w zanadrzu bardzo piękną mowę, której nie mógł wygłosić, mowę pełną majestatów i kończącą się nawet wspomnieniem o carskich nogach, do których przyjechał złożyć wszystkie te dary. W Compiégne, gdy noc zapadła, malował się na obliczach jeszcze cięższy smutek, bo Ciekawińscy popłacili po 50 franków za miejsca na balkonach, to jest za to, żeby widzieć cztery kokardki przy końskich uszach i dwóch ziewających ludzi w pojeździe.

Nazajutrz manewra pod Reims. Czas piękny, jazda wesoła, owacye na polu bitwy, ataki, szarże, szturmy i inne tumulty. Na bułanym koniu, w monumentalnych butach, w białej czapce, hulał car dokoła, oglądał, wypytywał, sypał pochwały, ściskał ręce, podziwiał najnowsze armaty i strzelał nawet z nich; a carowa, biorąc udział w ogólnym boju, bombardowała nieustannie męża i niemęża — aparatem fotograficznym.

66

W domu na moczarach.

POWIEŚĆ

FLORENCYI WARDEN.

Z ANGIELSKIEGO.

CZĘŚĆ DRUGA.

(Ciąg dalszy).

Do herbaty przyszła do jadalni z nieodstępną Sarą, przy której powitałam ją, jakby po dłuższem niewidzeniu, aby nie zdradzić przed tą przebiegłą kobietą tajemniczej drogi, na której mogłabym się czasem widywać z jej nieszczęśliwą panią. Dlatego też po herbacie powtórzyłam jej całą propozycyę mr. Raynera, przesiedlenia się w sobotę do gościnnego pokoju.

— W sobotę? — przerwała ostro Sara.

— Tak — odpowiedziałam nieco przestraszona, bo powiedziałam nieprawdę. — Czy woli pani może przenieść się dziś jeszcze, czy dopiero jutro? — zapytałam mrs. Rayner.

— Jutro — odpowiedziała ona, obrzucając mnie ukradkowem spojrzeniem wdzięczności, a ja zwróciłam się do Sary.

— Mr. Rayner życzył sobie tego — powiedziałam jak najskromniej, bo wstydziło mnie nieco wydawanie rozkazów służbie, w obecności jego żony, chociażby nawet obłąkanej.

— Dobrze, miss — odpowiedziała Sara posłusznie.

Po raz drugi już, spełniała Sara rozkaz wydany w imieniu mr. Raynera, bez najmniejszego oporu.

Jeszcze większem zdziwieniem przejęło mnie jednak tajemne ostrzeżenie mrs. Rayner, które świadczyło o jej bystrej obserwacyi. Podczas sprzątania Sary ze stołu, zbliżyła się mrs. Rayner do kominka i kiedy tamta wyszła na chwilę z pokoju, szepnęła do mnie cicho, nie zwracając wcale głowy:

— Bądź pani ostrożna, ona nie cierpi pani, a jest bardzo niebezpieczną.

Popatrzyłam na nią prędko, ale Sara już wróciła, a twarz mrs. Rayner była jak zwykle obojętną.

Byłam już tak przyzwyczajoną do obawy przed Sarą, że to ostrzeżenie nie wywarło na mnie większego wrażenia. Poszłam niebawem na górę i położyłam się do łóżka, nie myśląc o tem wcale.

W nocy już, obracając się w łóżku, wydało mi się, że słyszę coś, czego nie możnaby nawet szmerem nazwać. Alicya spała spokojnie, ale ja dostrzegłam, że ogień wygasał już w kominku, a do rana zdawało się jeszcze daleko, namyślałam się właśnie, czy nie dobrze byłoby dołożyć parę polan, kiedy doleciał mnie powtórny szmer — tuż pod drzwiami — wstrzymałam oddech i wsłuchałam się uważnie. Tak, znowu doleciał mnie ten dziwny szmer, jakby coś sunęło lekko po wschodach. Cicho wstałam z łóżka, zapaliłam świecę i przysunąwszy się do drzwi, przyłożyłam ucho do dziurki od klucza. Po małej chwili ozwał się ponownie ów suwający się szmer, czyby miał to być Nap, duży pies mr. Raynera; ale czegóżby szukał tu na wschodach?

Nieokreślony szmer powtórzył się znowu. Zebrałam więc całą odwagę i postanowiłam sobie przestraszyć nagle mego stracha. W całem Alders otwierały się wszystkie drzwi bez najmniejszego szelestu, obróciłam więc cicho klucz w zamku i otworzyłam nagle całe drzwi na oścież, stając w nich i podnosząc w górę światło. Alicya krzyknęła lekko, szkoda, że nie pomyślałam o niej przedtem.

Mój plan miał aż nadto dobry skutek. Jakaś postać skoczyła nagle, była to Sara!

Zanim miałam czas rozpoznać dokładnie wściekłą kobietę, poślizgnęła się i z przerażającym krzykiem spadła na wznak ze wszystkich wschodów. Widziałam jeszcze drżące, chude ręce, wyciągnięte z rozpaczą w górę, w celu uczepienia się poręczy; nie dosięgła jej jednak; usłyszałam straszny łoskot upadającego ciała i głuchy przyduszony jęk.

Drżąc cała nie mogłam się ruszyć z miejsca. Po chwili dopiero odważyłam się przestąpić próg, ale już na pierwszym wschodzie poślizgnęłam się i gdybym się nie była zatrzymała poręczy, byłabym również upadła ze wszystkich wschodów. Na drugim stopniu potknęłam się znowu o sznur przywiązany do obu poręczy o kilka cali wyżej nad stopniem.

Teraz już obudziło się we mnie podejrzenie. Schyliłam się i ostrożnie, obmacałam ręką dalsze wschody, wszystkie były śliskie, tak samo jak dwa pierwsze. Było tu zwykle ciemno za dnia nawet, otóż Sara liczyła widocznie na to, że wychodząc zrana, nie zauważę pułapki i zlecę ze wszystkich wschodów, a zrobiła to w zamiarze okaleczenia, lub pozbycia się mnie, na zawsze. Całe wschody na górze posmarowane były łojem.

W nagłem przerażeniu, gdy roztworzyłam drzwi na oścież i stanęłam z światłem, wstąpiła ona nogą w miskę z roztopionym łojem, a następnie poślizgnąwszy się, upadła w dół, który dla mnie wykopała. Rozmyślałam jeszcze nad tem strasznem zdarzeniem, kiedy doszło moich uszu nowe stękanie i niewyraźne mruczenie. Sama, niemal chora z przestrachu, zlazłam powoli na dół, bojąc się mocno straszliwego widoku, jaki mnie oczekiwał na dole.

XXIII.

Dolne wschody nie były posmarowane. Sara zleciała jednak aż na kurytarz, pokryty kamiennemi taflami. Leżała tu bez przytomności, z głową zanurzoną w kałuży krwi. Stękała od czasu do czasu z zamkniętemi oczyma, a gdy je na chwilę otworzyła, to nie poznawała mnie wcale.

Krzyk jej i łoskot spadającego ciała sprowadził już Janę z dziecinnego pokoju, w którym spała razem z Moną, przybiegła tu właśnie razem z kucharką, którą sprowadziła, jako bardziej doświadczoną od siebie. Północ już minęła, mimo to jednak posłałam Janę do wsi z rozkazem do Sama, aby natychmiast sprowadził z Beaconsburgh doktora. Kucharka utrzymywała, że Sara ma złamane ramię, bo kiedy je poruszono zapadała w omdlenie. Przyniosłam tedy trochę koniaku i rzeźwiłyśmy nim spieczone usta chorej, nie mogłyśmy jednak zmusić jej do przełknięcia paru kropli; kucharka obwiązała jej zranioną głowę chustką i przykucnąwszy na ziemi, trzymała ją na swoich kolanach. Ja też wziąwszy z góry szal na ramiona, czekałam z nią, drżąc z zimna i wzruszenia, dopóki nie usłyszałyśmy dzwonka, zwiastującego przybycie lekarza.

Był to doktor Lowe. Najpierw zażądał więcej światła. Jane przyniosła natychmiast lampę, ale on kiwnął na nią, żeby się oddaliła.

Potem zapytał mnie, czy nie jestem nerwową, a po zaprzeczeniu, kazał mi trzymać lampę w czasie opatrywania ran. Później powiedział mi, że mam bardzo silne nerwy, gdy mnie przeciwnie, utrzymywał jedynie strach przed nim, na tem trudnem do wytrzymania stanowisku. Odwróciwszy twarz, stałam z zamkniętemi oczyma i mocno zaciśniętemi zębami. Kucharka słusznie się domyślała: ramię, na którem Sara leżała, było złamane. Doktor obandażował je, obciął też długi czarny włos z głowy, opatrzył głęboką ranę, przyczem nadmienił, że mózg prawdopodobnie uległ wstrząśnieniu, kazał przynieść materac, na którym przeniesiono chorą ostrożnie do jej pokoju.

— Kto będzie czuwał nad nią? — zapytał doktor.

— Ja, — odpowiedziałam, dodając z wahaniem, — jeśli...

— Jeśli co — przerwał doktor szorstko, zwracając się ku mnie.

— Panie konsyliarzu — odpowiedziałam ciszej — czy nie zaszkodzi chorej widok osoby, którą ona nienawidzi?

— Nie — odpowiedział, wpatrując się we mnie badawczo. — Ona niepoznaje nikogo, ale proszę się przygotować, że będzie bardzo niespokojną. Co się jej właściwie stało?

— Upadła z wszystkich schodów.

— Wiodących do pokoju pani, nie prawdaż? Jakim sposobem znajdowała się tam, wśród nocy? Dlaczego pani nie opowiedziałaś mi całego zdarzenia?

Teraz opowiedziałam mu o wszystkiem.

— No, czyż pani nie widzisz teraz sama jasno, że musisz ten dom jak najprędzej opuścić — zapytał pochmurno.

(Ciąg. dal. nast.)

W Reims niespodzianka. Przemawiał tam do cara burmistrz-socyalista (i nawiasem mówiąc bardzo potężny milioner) grzecznie i poprawnie wprawdzie, jak przyzwoitość każe, ale językiem, jakiego od stworzenia świata Mikołaje jeszcze nie słyszeli.

— Piję na pomyślność miasta Reims", mówił car przy końcu tej roskosznej, półgodzinnej konwersacyi, potrącając o kieliszek burmistrza; a burmistrz na to: „Dziękuję panu w imieniu miasta, życząc, żeby się panu podobała nasza katedra, którą w tej chwili będziesz oglądał."

„Jestem bardzo kontent, odrzekł car, że mam sposobność ją widzieć", a burmistrz na to: „Więc nie wstrzymuję już pana, bo wiem, że panu spieszno."

Po raz pierwszy w życiu zgubił Mikołaj swój majestat na całe pół godziny i odnalazł go dopiero w katedrze w ustach kardynała, który mu majestatów w ogóle nie szczędził, bo pokazywał koronacyjne dalmatyki, relikwiarze, złote chleby i inne monarchiczne symbole i dary; pokazywał mu też sławetną, historyczną ampułę, czyli dokładniej mówiąc, ampułę względnie nową, datującą z koronacyi Karola X, a przy niej resztki dawnej (przyniesionej według podania przez anioło z nieba), którą 8 października 1793 r. komisarz rządu rewolucyjnego publicznie przed zgromadzonym ludem potrzaskał.

Trzeciego dnia wypoczynek, a ostatniego (wczorajszego) wielka rewia wojsk pod Reims. O rewii nie będę się już rozpisywał, bo nadużyłbym cierpliwości czytelników, którzy nie od wczoraj zapewne wiedzą, że rewie należą do tej samej nieśmiertelnej familii co balety, bengalskie ognie i skoczki przez obręcz po cyrkach, to jest do widowisk, które wszędzie i wieczyście tak samo wyglądają i które się widziało tysiąc razy, jeśli je się widziało raz.

Zanotować z tego dnia wartoby chyba tylko to, że car przy pożegnaniu dziękował wprawdzie bardzo za przyjęcie, ale nie ściskał małego prezydenta, jak niegdyś jego dużego poprzednika. Stracił, widać, swe młodzieńcze entuzyazmy, albo też może i Loubet nie tyle go czarował, co Faure. Faure był bajecznym wielbicielem wszelkich pozorów ziemskiej wielkości, szukał pomp i majestatów, nawet w klamkach swych drzwi; a Loubet jest skromnym filozofem, straszliwie lekceważącym świecidła. Więc też pierwszy kwadrował doskonale z carem, a drugi zapewne względnie tylko.

Trzeciego (przedwczorajszego) dnia nic się też wiekopomnego nie działo. Od rana przechadzał się car po parku z carową: jadł z nią potem *en tete a tete* śniadanie, przyjmował ministrów, trzymał do chrztu w kaplicy zamku małego wnuczka ambasadora Montebello i spędził przedwieczorne godziny w kółku rodzinnem.

Wieczorem dopiero zajaśniała całą gębą feta. Zajaśniał stół w sali jadalnej tysiącem przepychów w srebrze, złocie i sewrskiej porcelanie, uwieńczył się girlandami orchidei i odegrano przy nim koncert gastronomiczny, którego program proszę odczytać naczczo, ażeby przy tej lekturze nie zapaść na dozgonną niestrawność:

Tortue claire á la française
Creme Dubarry
Rissoles Lucullus
Caisses de laitances dieppoises
Barbues dorées à la Vatel
Selles de chevreuil Nemrod
Poulardes du Mans Cambacérès
Terrines d' huîtres à la Joinville
Cailles de vigne braisés Parisienne
Citrons granités à l' Armagnac
Faisans de Compiègne truffés rôtis
Truffés au champagne
Supremes de foie gras de Nancy
Salade Potel
Pains de pointes d' asperges à la creme
Turbans d' ananas de Versailles
Glaces Fidelio
Dessert

Vins: Amontillado sec, Sauternes en carafes, Saint Emilion en carafes, Perrier-Jouet en carafes. Chateau Yquem 1874, Chateau Laffite 1875, Corton grand vin 1868; Champagne: Moet et Chandon, Dry Imperial 1889, Montebello Crémaut.

Trawienie w podobnych okolicznościach może się nietylko skończyć, ale nawet zacząć katastrofą, więc żeby sobie ulżyć w tej ciężkiej doli, uciekła się cała strojna świta do teatrzyku zamkowego, gdzie grano doskonale komedyjkę Alfreda de Musset „Il ne faut jurer de rien" i gdzie komika aktora Coquelina oddziaływała na żołądki w najszczęśliwszy w świecie sposób.

CZYN

(Osnute na tle rzeczywistem.)

Rejent w miasteczku Zadusinie siedział pochylony nad pliką papierów i leniwie przewracał kartki, szukając jakiegoś dawnego aktu. Z pożółkłej, pomarszczonej jego twarzy wiała nuda i rozleniwienie. Sine obłoki dymu z cygara snuły się po dusznej, ciasnej izbie kancelaryjnej. Pan rejent spluwał od czasu do czasu na podłogę, przecierał zaspane oczy i co chwila spoglądał na zegar zakurzony, opleciony pajęczyną. Spać mu się chciało po wczorajszym wincie, który przeciągnął się do godziny czwartej z rana.

Ciszę, przerywaną tylko sennem tykaniem zegara i szelestem przewracanych arkuszy pożółkłego papieru, przerwało głośne trzaśnięcie drzwiami i jeszcze głośniejsze powitanie przybyłego:

— Moje uszanowanie panu!

— A, kochany doktor, poznałem po trzaśnięciu drzwiami, że to pan. He! he! dwa lata kręcisz się pan w Zadusinie, a masz jeszcze w sobie tyle życia. He! he! poczekaj jeszcze rok, dwa: zadusi cię Zadusin, zadusi... Jakże wczorajszy wincik?

— Właśnie w sprawie wczorajszego winta przychodzę do pana, panie radzco.

— He, he! mnie bo dziś już nie naciągniesz pan. Jutro, to i owszem, ale dzisiejsza noc do mnie należy: co innego pan, młody, silny. Kto umie tak trzaskać drzwiami, ten może nie dwie, ale pięć nocy przesiedzieć nad kartami. He, he!

Doktór patrzył na mówiącego wzrokiem roztargnionym. Znać było, że jego myśl, uparcie czemś zajęta, z trudnością chwyta wymawiane powoli wyrazy.

— Cóż, skończył pan? — zapytał nagle.

— A no he, he, skończyłem.

— A teraz bądź pan łaskaw sporządzić mi ten akcik.

I położył na biurku zapisany drobnem równem pismem arkusz papieru.

— A to co? He, he! doktor dom kupujesz, czy co u licha.

Nałożył powoli okulary i począł czytać.

„Ja, niżej podpisany, obowiązuję się wypłacić tytułem nagrody rubli sto każdemu, kto zobaczy mnie, lub zastanie przy grze w karty. Nagroda w wysokości wyżej wzmiankowanej ma być uważana, jako mój dług honorowy, ma być wypłacona natychmiast, w całości. Żadne wypadki wyjątkowe nie mają być uwzględniane. W razie nieprzyjęcia nagrody lub nagród, obowiązany jestem natychmiast złożyć sumę tę na szpital. Akt ten, zrobiony prawnie, rejentalnie, obowiązuje mnie na całe życie. Ma on być ogłoszony w ciągu dwóch tygodni w piśmie miejscowem i w jednem z pism warszawkich; tekst poniższego aktu ma być ogłaszany w odstępach rocznych w wyżej pomienionych pismach, by treść mego zobowiązania nie poszła w zapomnienie."

Gdyby doktor przyszedł do rejenta w celu sporządzenia aktu, obowiązującego go do wytrucia w ciągu tygodnia całego Zadusina i okolicy, nie mogłoby to bardziej przerazić czcigodnego rejenta. Otworzył usta, wstrzymał oddech i cały się we wzrok zamienił.

— Panie doktorze — wyszeptał nareszcie — co się stało?

— Nic; chcę przestać grać w karty.

— Pan żartujesz.

— Ani trochę.

— Przecież... pan... by zwaryował tu.

— Nie panie, wziąłbym się do roboty.

— Jakiej?

Lekarz rozejrzał się po kancelaryi rejenta i rzekł z uśmiechem:

— Jaka się nadarzy. Ot, obkurzałbym pański zegar, umyłbym okna brudne.

W głosie młodego doktora pan rejent pochwycił nutę, która kazała mu postanowienie jego uważać za niezłomne.

— Ależ tak nagle, jak, skąd? pytał wahająco.

— Nie, panie, nie nagle powziąłem to postanowienie; przypomnij pan sobie, ile to razy, wracając z kart, mówiłem, że to już „raz ostatni." Śmialiście się z moich postanowień, a ja po powrocie do domu omal, że się nie ćwiczyłem rózgami. Jakto, ja, który mam tu pracować w warunkach tak fatalnych, bez szpitala, bez potrzebnych, koniecznych często pomocy naukowych, bez pracowni, bez biblioteki, z jedną gazetką specyalną zaledwie, bez towarzyszów pracy, bez zachęty znikąd. Zamiast skupić się, wytężyć wszystkie siły, żeby ześrodkować cały zapał, aby choć w części odpowiedzieć zadaniu, spłacić dług pokładanych we mnie nadziei, ja narkotyzuję się, usypiam myśl i uczucia kartami? Tak, panie, ja rozumiałem to, ale nie miałem dość woli, by postanowieniu pozostać wiernym... Tak, panie, wychowanie nie wyrabia w nas woli... I oto w chwili, którą nazywam chwilą natchnienia, objawienia, przychodzi mi myśl ta, czepiam się jej gorączkowo i spełniam natychmiast, spełniam, rozumie pan? Jest to fakt dokonany.

— Ale jakże to? He, he! no choćby... no! he, he, he!

— Wiem, co pan chce powiedzieć: abym zostawił sobie jakąś furtkę, któraby pozwoliła obejść w razie potrzeby to postanowienie. Nie, żadnych wykrętów, żadnych „kruczków". Gdybym pozwolił sobie grać raz w tygodniu, mógłbym, przepędziwszy dwie noce nad kartami, powiedzieć sobie: „za to dwa tygodnie nie wezmę kart do ręki". Rozumie pan?

— No, tak, prawda, he! he! ale tak na gorąco, niech pan pomyśli, zastanowi się. He! he! uważa pan, tu przecież, o! napisane: „dług honorowy". To sprawa poważna, może pociągnąć za sobą dotkliwe, he! he! przykre następstwa.

— Wiem o tem doskonale i jutro przyjdę do pana ze świadkami, aby akt podpisać. Tu idzie, panie, nie o drobiazg, ale o rzecz zasadniczą. Ogłoszenie moje musi wywołać wrażenie, musi stać się głośne, musi znaleźć naśladowców. My, ludzie wykształceni, wiemy, że dobro i zło im jest oryginalniejsze, tem więcej bywa zaraźliwe. Jedna zbrodnia rodzi dziesięć podobnych, jeden czyn obywatelski musi odbić się echem szerokiem. Jestem moralnie przekonany, że za lat kilka w samym Zadusinie istnieć będzie dziesięć aktów, podobnych do tego, który ja zawarłem z mojem sumieniem. Kto wie, czy i pan nie będzie jednym z tych dziesięciu.

— Ale co my robić będziemy, na Boga?

Doktór zaśmiał się głośno, ścisnął rękę rejenta na pożegnanie i wyszedł, pozostawiając go w niemej zadumie.

Pan rejent zapalił zagasłe cygaro, zdjął okulary, splunął, przetarł oczy i mruknął:

— Przez dwa lata Zadusin go nie zadusi. Twarda sztuka!

Zrazu nie wierzono trwałości postanowienia lekarza-oryginała, potem dziwiono się, potem stroniono odeń cokolwiek, aż w końcu w rok niespełna po wyżej opisanej rozmowie w piśmie zadusińskiem ukazało się, ku zdziwieniu ludności okolicznej i zachwytowi całej prasy, następujące ogłoszenie:

„My, niżej podpisani, aktem rejentalnym, sporządzonym za numerem N. u rejenta N. w Zadusinie, zobowiązaliśmy się wypłacić rubli sto nagrody każdemu, ktoby ujrzał nas przy grze w karty od dnia niniejszego ogłoszenia.

Tu następowały podpisy: lekarza, adwokata i trzech obywateli ziemskich z okolicy.

ROZMAITOŚCI.

Strejk zażegnany. W drukarniach praskich zanosiło się na bezrobocie; mianowicie personal składający dzienniki domagał się, aby w każdą niedzielę, którą poprzedza święto, nie wydawano wcale gazet. Żądaniu temu uczyniono zadość i odtąd na mocy obopólnego układu, w terminie rzeczonym nie będzie w Pradze wychodził żaden dziennik. W sobotę, jako w uroczystość patrona Czech, św. Wacława, wydane będą dzienniki jednorazowo, zrana; następny zaś numer wyjdzie aż w poniedziałek 30 b. m.

Praca kobiet. Według najnowszej statystyki połowa kobiet we Francyi zarabia na swoje utrzymanie pracą. I tak mamy tam 450 lekarek, 519 autorek, 3.600 malarek i rzeźbiarek, 3.500 aktorek, 12.000 akuszerek, 30.000 modystek, 50.000 urzędniczek państwowych, 95,000 zakonnic, 100.000 nauczycielek, 245.000 zatrudnionych w handlu, 500.900 utrzymujących się z kapitału i realności, 570.000 robotnic fabrycznych, 650.000 służących, 950.000 krawczyń i 2,700.000 zajmujących się rolnictwem.

Ruch pociągów kolejowych od 1 maja 1901.

Przyjazdy i odjazdy pociągów podane są podług zegara środkowo-europejskiego.

Przychodzą do Lwowa na dworzec główny:

Pociąg	godzina	
pospiesz.	12·15	z Czerniowiec, Itzkan, Jass, Constancy, Bukaresztu,
„	2·31	z Krakowa, Orłowa, N. Sącza, Jasła, Chabówki, Zakopanego, Berlina, Wrocławia, Warszawy i Wiednia
osobowy	3·35	z Podwołoczysk, Grzymałowa,
„	6·10	z Krakowa, Berlina, Warszawy, Wiednia, Oświęcimia, Rymanowa, Sanoka, Chyrowa
„	6·20	z Czerniowiec, Itzkan, Suczawy, Czortkowa, Kałusza
„	6·42	z Brzuchowic (codziennie od 16 maja do 15 września włącznie)
„	7·45	z Janowa
„	8·00	z Tarnopola, (Brodów)
„	8·10	z Ławocznego, Chyrowa, Borysławia, Sanoka, Kałusza i Pesztu
„	8·15	z Sokala i Rawy ruskiej
„	8·50	z Krakowa, (Zagórza, Łupkowa, Przemyśla. Wiednia, Berlina, Wrocławia, Orłowa (od 15/6 do 15/9), Tarnowa, Pesztu
„	11·45	z Rzeszowa (Lubaczowa, Jarosławia, Sambora i Przemyśla)
„	11·55	z Stanisławowa (Kőrösmező, Potutor. Chodorowa)
„	12.55	z Janowa
„	1·10	z Skolego, Stryja Kałusza. Chyrowa (Ławocznego od 1/6 do 15/9
pospieszn.	1·35	z Krakowa, Wiednia, Wrocławia, Berlina, Tarnowa, Rzeszowa, Rozwadowa, Przeworska, Sanoka. Chabówki, Zakopanego
„	1·45	z Czerniowiec, Itzkan, Bukaresztu, Jass, Husiatyna, Stanisł.
„	2·35	z Podwołoczysk Grzymałowa, Husiatyna, Tarnopola i Brodów
osobowy	3·14	z Brzuchowic (od 16/5 do 15/9 w niedziele i święta)
„	4.40	z Sambora, z Borysławia, Drohobycza, Stryja
„	5·35	z Podwołoczysk, Kijowa, Odessy, Grzymałowa, Kozowy, Brodów
„	5·50	z Krakowa, Wieliczki, Orłowa, Rozwadowa via Dembica, Sambora, Chyrowa, Kalwaryi, Berlina, Wrocławia, Wiednia,
„	5·40	z Czerniowiec, Itzkan, Stanisławowa
„	6·00	z Sokala, Bełzca, Lubaczowa, Rawy ruskiej
„	7.36	z Brzuchowic (od 16/5 do 15/9 w niedziele i święta)
„	9.00	z Janowa (od 1/5 do 15/9 w niedziele i święta)
pospieszn.	8·40	z Krakowa, Wiednia, Berlina, Wrocławia, Tarnowa, Lubaczowa, Sanoka, Przemyśla,
osobowy	8·50	z Brzuchowic (16/5 do 15/9 codziennie)
„	9·41	z Janowa (codziennie od 1/5 do 30/9)
„	9·50	z Krakowa, Wiednia, Warszawy, Berlina, Wrocławia, Tarnowa, Jasła, Przeworska i Rozwadowa
„	9.20	z Czerniowiec, Itzkan, Bukaresztu, Husiatyna, Kőrösmező
„	10·30	z Ławocznego, Pesztu, Chyrowa, Kałusza, Borysławia
„	10·20	z Podwołoczysk, Kijowa, Odessy, Brodów, Kopyczyniec, Zaleszczyk, Skały, Iwania pustego

Na dworzec „Podzamcze":

Pociąg	godzina	
	5·12	z Podwołoczysk, Grzymałowa, Tarnopola,
	7·40	z Tarnopola i Brodów
pospiesz.	3·20	z Podwołoczysk, Kijowa, Odessy, Grzymałowa i Brodów
osobowy	5·11	z Kopyczyniec, Zaleszczyk Podwysokiego i Brodów
	10·01	z Podwołoczysk, Kijowa, Odessy i Brodów, Kopyczyniec, Zaleszczyk, Skały, Iwania pustego

Odchodzą ze Lwowa z dworca głównego:

Pociąg	godzina	
pospiesz.	12·25	do Krakowa, Rozwadowa, Jasła, Chabówki, Zakopanego, Orłowa, Wiednia, Wrocławia, Berlina
„	2·51	„ Itzkan, Czerniowiec, Stanisławowa, Bukaresztu, Constancy
osobowy	4·15	„ Krakowa, Wiednia, Wrocławia, Berlina, Chyrowa, Sambora, Jasła, Stróż, Rozwadowa via Dembica, Wieliczki
„	5·45	„ Brzuchowic (od 16 maja do 15 września codziennie)
„	6·35	„ Ławocznego, Munkacza, Pesztu, Borysławia
„	6·30	„ Podwołoczysk, Kijowa, Odessy, Brodów, Kopyczyniec
„	6·25	„ Czerniowiec. Podwysokiego, Potutor
pospiesz.	8·30	„ Krakowa. Wiednia, Wrocławia, Berlina, Lubaczowa, Orłowa Chabówki, Zakopanego (od 1/5 do 30/9)
osobowy	8·40	„ Krakowa, Bogumina, Warszawy, Chyrowa, Przeworska, Rozwadowa, Stróż, Tarnowa, a od 15/6 do 15/9 włącznie Sanoka noka, Rymanowa, Iwonicza i Jasła
„	9·00	„ Skolego, Chyrowa, Kałusza (do Ławoczn. od 1/6 do 15/9)
„	9·15	„ Janowa
„	9·25	„ Podwołoczysk, Grzymałowa, Kozowy
„	10.25	„ Czerniowiec, Stanisławowa, Potutor
„	10·20	„ Sokala, Bełzca, Lubaczowa, Rawy ruskiej
„	1·25	„ Janowa (od 1 maja do 15 września w niedziele i święta)
pospieszn.	1·55	„ Podwołoczysk (Kijowa, Odessy, Brodów), Kopyczyniec, Zaleszczyk, Grzymałowa, Skały, Iwania pustego
osobowy	2·15	„ Brzuchowic (od 16 maja do 15 września w nieds. i święta)
pospieszn.	2·40	„ Czerniowiec, Itzkan, Stanisławowa. Husiatyna
„	2·55	„ Krakowa, Wiednia, Wrocławia, Berlina, Jasła, Chabówki Zakopanego
osobowy	3·05	„ Stryja (do Skolego tylko od 1 maja do 30 września
„	3·15	„ Janowa (codziennie od 1 maja do 30 września)
„	3·26	„ Brzuchowic (codziennie od 16 maja do 15 września)
„	3·30	„ Rzeszowa, Chyrowa, Przemyśla, Lubaczowa, Jarosławia
„	6·10	„ Stanisławowa
„	6·30	„ Janowa (od 1/5 do 15/9 w dnie powsz. a od 16/9 do 30/4 1902 codziennie)
„	6·20	„ Krakowa, Wiednia, Wrocł. Berlina, Warsz. Orłowa, (od 15/6 do 15/9) Chyrowa. Mező-Laborcza i Pesztu, Oświęcima
„	6·35	„ Ławocznego, Munkacza, Pesztu, Chyrowa, Kałusza
„	7.10	„ Tarnopola i Brodów
„	7·25	„ Sokala i Rawy ruskiej
„	7·52	„ Brzuchowic (od 16/5 do 15/9 w niedziele i święta)
„	9·30	„ Janowa (od 1/5 do 15/9 w niedziele i święta)
„	10·30	„ Czerniowiec, Itzkan, Jass, Bukaresztu, Czortkowa, Bortomeiu, Seretu, Brodiny, Suczawy
„	11.00	„ Krakowa, Wiednia, Wrocławia, Berlina, Warszawy, Rozwadowa via Przeworsk, Chyrowa, Rymanowa, Iwonicza, Sanoka, Orłowa, Wieliczki, Chabówki, Zakopanego
„	11·10	„ Podwołoczysk, Brodów, Kopyczyniec, Grzymałowa

Z dworca Podzamcze:

Pociąg	godzina	
	6·43	z Podwołoczysk, Brodów, Kijowa, Odessy, Kopyczyniec
	9·43	z Podwołoczysk, Brodów, Kopyczyniec, Zaleszczyk, Skały, Iwania pustego
pospiesz.	2·08	z Podwołoczysk, Grzymałowa, Kijowa, Odessy
osobowy	7·33	z Tarnopola i Brodów
	11·33	z Podwołoczysk, Brodów, Kopyczyniec, Zaleszczyk, Podwysokiego, Grzymałowa

Uwaga: Pora nocna oznaczona jest ramkami. Czas środkowo-europejski jest późniejszy o 36 minut od czasu lwowskiego. W mieście wydaje bilety jazdy: Zwykłe bilety ajencya dzienników J. St. Sokołowskiej, w pasażu Hausmana l. 9, od 7 rano do 8 godziny wieczorem, zaś bilety innego rodzaju bilety, taryfy, ilustrowane przewodniki, rozkłady jazdy itp. biuro informacyjne c. k. kolei państw. (ulica Krasickich l. 5 w podwórzu, Schody II, drzwi l. 53) w godzinach urzędowych (8—3 w święta 9—12).

Wydawca i odpowiedzialny redaktor Platon Kostecki.

Z drukarni i litografii Pillera i Spółki.